

Norma Winstone Stories Yet To Tell

2010 ECM
Dystrybucja: Universal

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●●

Wielka dama brytyjskiej wokalistyki jazzowej. Wydaje dla ECM-u, a jednak w Polsce jest mało znana. Gdzie indziej ludzie pamiętają jej działania z zespołem Azimuth oraz albumy solowe. Są ciekawsi muzycznego świata i może trudniej wpadają w estetyczne koleiny. Ale nie ma co płakać. Najnowsza płyta Normy Winstone trafiła do naszych sklepów i możemy śmiało o nią pytać.

Ostrzegam jednak, że nie jest jazzowa w tradycyjnym rozumieniu tego pojęcia. Może nawet dla wielu będzie to zachęta. Melodie tradycyjne, pieśni średniowieczne, muzyka Tigrana Mansuriana i Komitasa żyją tu obok kompozycji własnych i perełek pióra Wayne'a Shortera. Żyją w harmonii, bez zgrzytów, tworząc kolorowy, choć w ogólnym wyrazie stonowany pejzaż.

To doskonała muzyka na zimowe wieczory; na chwile, kiedy z domowego zaciśza dobrze podglądać pogodę za oknem i w głębi duszy cieszyć się, że nie musimy wychodzić ani marznąć. Tej muzyce trzeba dać czas. Nie zżymać się na jej kameralne brzmienie z głosem, klarnetem basowym, czasem saksofonem sopranowym i fortepianem. I nie marudzić, że jest niespieszna i delikatna.

Dwanaście piosenek do tekstów Normy to mistrzowska opowieść o muzykalności i emocjach. No i ten króciutki „Among The Clouds” zaśpiewany do muzyki Marii Schneider. Pyszne! ■

Maciej Karłowski



Soft Machine Legacy Live Adventures

Moonjune Records 2010
Dystrybucja: www.moonjune.com

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●○○

Zespół Soft Machine należał do najważniejszych brytyjskich formacji przełomu lat 60. i 70. Był to wyjątkowo płodny czas dla muzyki, zarówno jazzu, jak i rocka (dla tego ostatniego gatunku bodaj najciekawszy okres w całej jego historii).

Twórczość grupy sytuowała się właśnie pomiędzy tymi biegunami. Wychodząc od psychodelicznego rocka, dotarła do jazz-rocka, fusion, a nawet rubieży freejazzu. Soft Machine nigdy nie odniosła wielkiego komercyjnego sukcesu, ale zdobyła grono wielbicieli i szacunek środowiska, dla którego była jednym z założycieli tzw. sceny Canterbury.

Przez lata zmieniał się skład zespołu. Przeszli przez niego choćby Robert Wyatt, Roy Ayers, Elton Dean, Daavid Allen, a nawet gitarzysta Police – Andy Summers. Już w obecnym stuleciu powstał projekt SM Legacy, w którym znaleźli się trzej członkowie SM z połowy lat 70. (John Etheridge (g), Roy Babbington (bg) i John Marshall (dr)). Do tego składu zaproszono Theo Trávisa na flecte i saksofonie.

W porównaniu z muzyką dawnego SM jest tu więcej jazzu; zarówno tego rozumianego jako fusion, jak i postbopowego. Travis gra momentami na saksofonie z zarliwością Coltrane'a, a jego flet dodaje pięknych barw kompozycjom grupy. Etheridge z kolei przemycza rockowy pazur, a wszystko pulsuje dzięki znakomitej pracy sekcji rytmicznej. ■

Marek Romański



Vince Benedetti Meets Diana Krall Heartdrops

Magic Records 2010

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●●○

Choć oficjalna dyskografia Diany Krall rozpoczyna się od „Stepping Out” (1993), to za jej debiut można uznać materiał zawarty na „Heartdrops”. Zarejestrowano go w 1990 w Szwajcarii, gdzie Diana – wówczas mało znana wokalistka – śpiewała w klubach jazzowych, a pomysłodawca albumu, puzonista i kompozytor Vince Benedetti, dorabiał jako taksówkarz. Poznali się, gdy wiozł ją na koncert. Wkrótce zaproponował nagranie płyty z własnymi utworami. Całość, po masteringu, wydano dopiero w 2003. Do polskiego słuchacza album trafił w ubiegłym roku.

„Heartdrops” ukazuje Dianę Krall wykonującą muzykę najbardziej zbliżoną do jazzu. Już wtedy dysponowała niezłą techniką wokalną, wycuciem swingu i ciekawą barwą głosu, która później stała się jej znakiem rozpoznawczym.

Płyta zaczyna się dość niepozornie, ale im dalej, tym lepiej. Kulminację osiąga w „Evidence”, gdzie mamy też brawurowe solo Diany na fortepianie. W tym momencie album mógłby się w zasadzie zakończyć, ale wydawca dorzucił jeszcze radiowe wersje utworów „Detroit Blues” i „My Love”.

W nagraniach ważną rolę odegrał lider Vince Benedetti (kompozytor, autor tekstów i aranżacji) oraz interesujący wokalista i gitarzysta Martien Oster.

Płyta adresowana do fanów Diany Krall, którzy chcieliby uzupełnić kolekcję. ■

Bogdan Chmura



The Bad Plus Never Stop

Emarcy 2010
Dystrybucja: Universal

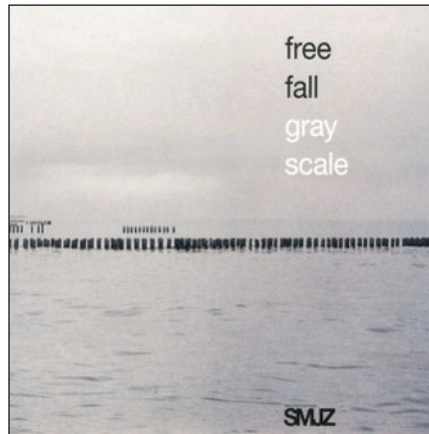
Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●○○

Amerykańskie trio fortepianowe Bad Plus (Ethan Iverson (p), Reid Anderson (b), Dave King (dr)) od blisko dekady pozostaje w awangardzie zespołów walczących ze skostniałym wizerunkiem tej szlachetnej jazzowej formacji. Kiedyś walkę tę toczyli ramię w ramię ze słynnym E.S.T. (Esbjorn Svensson Trio), teraz pozostali sami. Ale nie obawiamy się – za ich plecami już się czają zastępy nowych zespołów, także na polskiej ziemi.

Na czym ta walka polega? Ano przede wszystkim na tym, że muzycy The Bad Plus grają w sposób bardziej kojarzony z wykonawcami rockowymi niż jazzowymi. Dotyczy to głównie motorycznej gry sekcji rytmicznej, ze strzelającym co chwila werblem. Dzielnie sekunduje jej pianista, nie stroniący od dysonansowych klastrów. Także sposób rejestracji nagrań jest bliższy tradycji rockowej niż jazzowej (dźwięk jest potężny; rozsadza głośniki). Członkom grupy nieobce jest również poczucie humoru. Utwory to kalejdoskop cytatów, zmian tempa, igraszek gatunkowych i stylistycznych. The Bad Plus był znany także z interpretacji tematów zaczerpniętych z rockowego, popowego i klasycznego repertuaru.

Napisałem: „był”, gdyż „Never Stop” zostało w całości wypełnione oryginalnymi kompozycjami zespołu. W niczym to jednak nie zmienia lekko prześmiewczej, a przy tym oryginalnej i znakomicie zagranej propozycji trójki sympatycznych Amerykanów. ■

Marek Romański



Free Fall Gray Scale

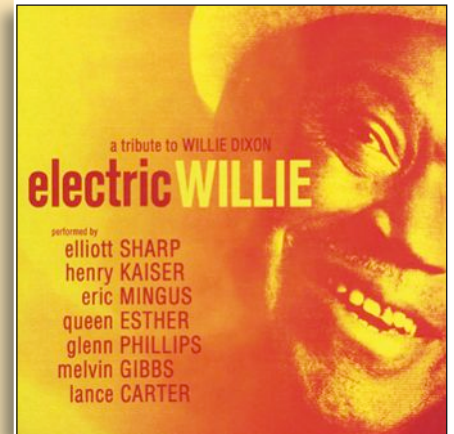
2010 Smalltown Superjazz
Dystrybucja: Multikulti

Muzyka: ●●●●○
Realizacja: ●●●○○

Ken Vandermark dzieli słuchaczy. Jedni ubóstwiają każdy przejaw jego działalności; inni pozostają sceptyczni. Wszyscy chyba jednak są zgodni, że to bardzo pracowity muzyk i niestrudzony propagator działań kreatywnych. Oceny poszczególnych płyt pozostawiam Państwu, ale do zestawu cech lidera pozwolę sobie dodać odwagę. Bo jak inaczej nazwać powołanie do życia formacji Free Fall (Vandermark (klarnety), Wiik (fortepian) i Heker-Flatten (kontrabas)), która błyskawicznie budzi skojarzenia z przeszłością? Na początku lat 60. działało inne trio: Giuffrè, Bley, Swallow i nagrało płytę pod takim właśnie tytułem. Porównania nasuwają się więc same i, niestety, nie są dla Vandermarka korzystne. Artystyczna wartość czwartej w dorobku płyty tego zespołu może być mierzona tylko w oderwaniu od historycznego pierwowzoru. Inaczej – kłapa!

Dzisiejszemu Free Fall brakuje wszystkiego, co miało tamto – elegancji, wiedzy, wyobraźni, przestrzeni, talentu improwizatorskiego i świadomości formy. Góruje za to nad nim pewnością siebie, determinacją, dosłownością, a może i dosadnością wypowiedzi. A przecież, jak na Vandermarkowskie standardy, Free Fall to bardzo kameralna propozycja. Kiedy znamy oryginał, trudno zachować ciepłe uczucia. Ale dzisiejsze Free Fall jest na miarę dzisiejszych czasów i za to nie można do nikogo mieć pretensji. Do Kena Vandermarka też nie. ■

Maciej Karłowski



Elliott Sharp i inni Electric Willie

Yellowbird Records 2010
Dystrybucja: GiGi Distribution

Muzyka: ●●●●●
Realizacja: ●●●●●

Jedna z lepszych płyt bluesowych, jakie ostatnio słyszałem. Mocny zestaw wykonawców pod wodzą Elliotta Sharpa wzięła na warsztat kompozycje Willie Dixona. I słusznie, bo autor zasłużył się nie tylko dla bluesa, ale też dla rocka. Jego utwory wykonywali najwięksi – od Rolling Stonesów („Little Red Rooster”), po The Doors („Backdoor Man”). Przyznam, że nawet ja myślałem kiedyś, że „Spoonful” to kompozycja grupy Cream.

Na „Electric Willie” otrzymujemy jedynie mały wybór z olbrzymiego kompozytorskiego dorobku Dixona, za to w znakomitym wykonaniu. W dodatku na żywo, więc i na scenicznym luzie. Wszyscy grają jak marzenie. Oprócz Sharpa na scenie pojawia się dwóch gitarzystów – Henry Kaiser i Glenn Phillips. Sekcję rytmiczną tworzą Melvin Gibbs (bas) i Lance Carter (perkusja), a w partiach wokalnych słyszymy Erica Mingusa i Queen Esther.

Już pierwsze nagranie, „Which Came First”, chociaż w warstwie tekstowej powraca do humorystycznego problemu – co było pierwsze: kura czy jajko, ma w sobie tyle bluesowej energii, że choćby dla niego warto mieć tę płytę. Mingus i Esther śpiewają na przemian, zapowiadając atrakcje, czekające słuchaczy w kolejnych utworach. Potem jest wspomniany „Backdoor Man” i to w równie dobrej wersji jak wykonanie Morrisona i spółki. Dalej album też trzyma wysoki poziom, więc każdy miłośnik bluesa znajdzie tu coś dla siebie. ■

Grzegorz Walenda